



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach piśm peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

DWIE POTĘGI.

I.

Nicość chwyta za ramiona,
I zapładnia ją oddechem;
Słońce milionem roziskrzona,
Wirująca ich pośpiechem,
Światy wzrokiem swym zatacza,
Z mgławic stęży gwiazd miliardy,
I ciężenia zakon twardy
Globom, pchniętym w bieg, wyznacza.
Ima przestrzeń, waży bryły,
Wszechistnienia rodzi prawa,
Tehnie w przyrodę twórcze siły,
I dnia mieczem noc rozkrawa.
Wieczność zowie jej imieniem,
W rozciągłości kształt zamyka,
Falującej żądy drzeniem
Świetlny eter wskrós przenika.
Dźwięk dostraja, promień łamie,
Pręży gazy, studzi śniegi,
I potęgi swojej znamię
W pierwobytów tehnie szeregi.
Węzeł przyczyn dzierży w dłoni,
Rozpryskuje się w atomy,
Tryska w blasku—w barwie—w woni,
Głos jej—cisza, słowo—gromy.
Turkusowy pierścień morza
Ziemi daje w upominku,
Wichrem rzuca się w przestworza,
Łądy rzeźbi dla spoczynku.

Popęd rzuca, jako strzałę,
Z części wiąże całość bytu,
W pąkach zwiży róże białe
I dogląda ich rozkwitu.
Czas—to ona; ruch—to ona;
W nieskończoność mknie jej droga,
Słońce milionem roziskrzona,
Bezgraniczna.....
To myśl Boga.

II.

Świadomość w bezwiedzę tehnięta,
Płomień zamknięty w kryształach,
Nurt, co brzegów zrywa pęta,
I pod chmury eiska fale....
Budzi się—drży—wzmaga skrzydła,
Potężnieje, świat rozpięra,
Słońca promień chwyta w sidła,
I milczeniu głos wydzierza.
Przeźrenie zwiży niby kartę,
Ruch ujarzma, czas zdobywa,
Na materję—nieodparte
Kładzie więzów swych ogniwa.
Prawdę chwyta obnażoną,
Podsłuchuje życia tętna;
Rozłakniona i namiętna,
Na przyrody pada łono....
Sto dróg przed nią, sto dróg za nią,
Wskrós ciemności tory wije,
Zawieszona nad otchłanią,
W żywych zdrojach wiedzę pije;

Martwe siły w jarzmo wpręga,
Oceany szturmem bierze,
Tajemniczych głębin sięga,
Z huraganem ma przymierze ...
Duch—jej imię, czyn—jej ciało;
Jej dziedzina—prawa bytu;
Z snów świątynię stawia białą,
A z pewników—słup granitu.
Jej sztandary—postać świata;
Bezcielesna, nieujęta,
Z płomienistych stosów wzlata,
I kajdanów zrywa pęta.
Skrzoń zbieleła, krew przelana,
Wzgarda kłutwy, nędzy łupy,
I tułactwa skryta rana—
To urodzin jej okupy.
Rozproszonych prawd okrucy
Zebrać w całość, stać na czele
Ruchów świata, budzić duchy,
Pojąć życie,—to jej cele.
Spromienione krople znoju,
Z własną głębią cicha zgoda,
Szczęście ludów, wiek pokoju,
Miłość bratnia,—jej nagroda.
Z bóstwem stapia się w zachwycie,
Z bohaterem w przyszłość leci,
Z mędrcom czuje bieg stuleci,
A z genjuszem stwarza życie.
Wzlata—pada—znów powstaje,
W wiekiistość się obleka,
Ideałom ciało daje,—
Posiew wieków....

Myśl człowieka.

Marya Konopnicka.

LUŻNE MYŚLI.

Wszystko, co stworzone, musi ciągle odwieczne odbywać krążenie; niema na ziemi spoczynku, bo nie może zachować swej formy, pozostać niedokończonym, nierozwiniętym—wszystko musi się ciągle przetrwarzać.

Wszędzie ruch i życie,—nigdzie spoczynku, nigdzie wytechnienia w naturze. Raz w wir wprawiona, natura zostaje już w nim ciągle, zawsze; nawet ciała bezwładne, skały, granity, nieruchome są tylko na pozór; niewidome bowiem oczom ludzkim siły, małe, niepozorne, działają nieustannie a skrętnie i, ciągle pracując, góry znoszą, morza wysuszają; na olbrzymie skały padają kropelki deszczu, zabierając małe cząsteczki, unoszą je w doły i morza sąsiednie. Tak wszędzie powstają grabarze form skończonych, niszcząc jedne zmuszają je do utworzenia nowych, dając śmierć, dają zarazem i życie, przemieniają, tworzą, sami podobne przeszedłszy koleje, bo, powstawszy z prochu i rozkładu poprzedników, napadają bez litości na wszystko, niedozwalając pozostać długo w formie, jaką sobie zdobyli, dążąc do doskonałości, idą po trupach istot, których formy były mniej pięknymi, mniej dobrymi.

Tak jest w życiu fizycznym, a w życiu duchowym podobnie odbywają się zmiany i przeobrażenia. Oto dziś np. powstaje myśl nowa, znajduje uznanie powszechnie jako dobra i prawdziwa i, korzystając z tego, obala, niszczy inne przed nią będące, przechodzi w czyn, rządzi i panuje. Ale te jej rządy niedługo trwają, w dali bowiem za nią powstają małe, słabe, ledwie widoczne płomyki, jak światełka błędne. Te wątle istotyki nikną po drodze; mała ich tylko cząstka, widząc, że pochod jednostkowy nie doprowadzi do celu, łączy się z sobą, by wspólnie już dążyć do potęgi i objawienia się w prawdzie. I ta garstka myśli walcząca w małej liczbie, ale silna jednością swą i prawdą, napada, uderza i zwycięża.

Lecz jej chwała długo nie trwa, człowiecze substraty myśli, jednostki, po krótkim przeciagu czasu, marnieją, gnuśniejają i nikną, lub, conajczęściej się zdarza, jeden z płomyków wznosi się nad inne, chcąc je przytłumić i samemu wszechwładczą zastąpić: ztąd powstaje walka i rozkład, a zatem zniszczenie i śmierć.

Nie dzieje się to jednak dobrowolnie, bo żadna istota nie poddaje się rozkładowi bez oporu; zawsze i wszędzie potrzeba na to pewnego czasu i zużycia sił żywotnych ze stron obu. Nawet rozsypanie się jednego źdźbła trawy, jednego listka marnego na to, by utworzyć zeń pożywienie dla innej rośliny przydatne, nie dokonywa się z łatwością.

Podobnie dzieje się i w dziedzinie myśli słowa i czynu—co razem stanowi życie ludzkości.

Żadna zasada, żadna z idei już utworzonych nie ustąpi miejsca bez oporu nowym,—owym słabym płomyczkom, które, zebrawszy się razem, chcą dawną potęgę obalić; lecz walczą, a walka ta, opór ten, daje się widzieć już przy objawieniu nowości słowem; obie strony walczą tem zapalczywiej, im bardziej to, co nowe, zbliża się do urzęczywistnienia. Podobna walka odbywa się wszędzie; pojedyncze atomy materii walczą, odbywają ruch ciągły, ale ten ruch, mając z góry wytyczone prawidła—idzie raz ubitym torem, pomyślnie wydaje owoce i prędzej dochodzi do celu. W życiu zaś duchowym walka myśli i zasad prowadzi często na bezdroża, oddala od celu i daje wyniki ujemne.

Nie dzieje się to jednak dla braku praw z góry nakreślonych, lecz dlatego, że ludzie zakrótko żyją; powiedzmy raczej, zamało, zakrótko badają swe życie, by jego prawdy poznać.

Odrzucone nieraz zasady, które wydały się złymi, są w istocie dobrymi, mogłyby bowiem być hamulcem, regulatorem w wielu wypadkach.

Podobne zbawienne działanie równoważących się czynników w naturze jasno się okazuje. Gaz węglowy np. jest szkodliwym, zatrąwa bowiem powietrze; w przyrodzie jednakowoż ważną odgrywa

rolę, gdyż stanowi jedyny, możnaby powiedzieć, pokarm świata roślinnego.

Lecz utrzymywać, że choćby najkrótsze panowanie błędu w miejsce prawdy, opóźnienie jakiego ważnego odkrycia w skutek przewagi fanatyzmu, jest nie tylko potrzebne ale nawet konieczne, byłoby za śmiałym twierdzeniem; przyjąć więc musimy, że podobne krążenie po manowcach niszczy siły moralne, osłabia działalność jednostek, a tem samem tamuje szybki wzrost nowych idei i zasad.

Jako środka zaradczego przeciw temu, nie można podawać zaniechania walki, nie można radzić pokoju, zastój; żądać czegoś podobnego, byłoby to żądać bezczynności, a więc nie życia, tylko spokoju i śmierci.

Chcąc uniknąć rezultatów złych, które wyniknąć mogą z bezładnego starcia, nie możemy, nie powinniśmy, unikać walki samej: przeciwnie, im więcej jednostek po stronach obu waleczy, tem piękniejszym, pełniejszym będzie zwycięstwo.

Zamiast pozostawienia starej kłody powolnemu gniciu i próchnieniu, rzućmy ją w obok stojące ognisko, a w jednej chwili wybuchnie jasnym płomieniem, zlodowaciałych ogrzeje. Zamiast przypatrywać się spokojnie i obojętnie powolnemu rozkładowi przestarzałych zasad, zamiast rzewnie ubolewać nad powolnością, z jaką się rozkłada w życiu to wszystko, co dobre, piękne, zbawienne a pocieszać się wygodną myślą, że przecież kiedyś będzie lepiej, że w końcu prawda zwyciężyć musi—podłożmy raczej ogień nowej wiedzy pod błędne zasady i upoczywne fałszy, a spalą się prędko i wydadzą jasne światło i ożywcze ciepło. Oto są przyczyny złych rezultatów a tem samem powolnego kiełkowania nowych myśli i poglądów, bo zamało zapaśników waleczy po obu stronach, bo przystępują do walki nie z owym przekonaniem walki za świętą sprawę, ale dla wielu innych a często samolubnych celów.

Do tego stronnictwa zaciąga się przeważnie młodzież, wszystko bowiem, co dobre i szlachetne, przyjmuje się łatwo w jej umyśle; ale młodzież idzie do walki gwałtownie, powiemy, namiętnie, bez poprzedniego przygotowania się—uderza gwałtownie, walczy naoslep, nie jak ten, który obliczył swe siły i idzie spokojnie naprzód, pewny zwycięstwa.

I jakż koniec?

Oto, że zamiast uznania, bywają często wyszydzeni, zamiast pomagać szkodzą, zamiast przyspieszać opóźniają, a gdy wreszcie, zbrojni całą siłą młodości, uderzą na olbrzyma, to go nie pokonają, osłabiają, ale nie zniszczą, niedosyć bowiem mieć silną wiarę w prawdziwość wyznawanych zasad, ale trzeba jeszcze umieć ich bronić, drogę im otworzyć i w czyn je wprowadzić... Tę siłę, pewność taką daje nauka.

W przeciwnym razie bowiem, chociaż zwycięża, nie tworząc nic nowego, rozkładają tylko gwałtownie stare.

Wkrótce też złe niezupełnie pokonane podnosi głowę nanowo i prawdę słabo utwierdzoną z wysokości, na którą ją tylko zapał nie nauka wyniosła, strąca nanowo w przepaść, gdzie nadługo zagrzebana z trudem kiełkuje, wzrasta powoli i dopiero po bardzo mozolnej pracy na jaw się wydobywa.

Taki ujemny proces w dziedzinie ducha, takie cofnięcie się, to reakcja; a bywa ona temsilniejszą, im gwałtowniejszym było natarcie.

Jeżeli więc młodzi zapaśnicy, a do tych liczą się nie tylko młodzi wiekiem, ale wszyscy wyznawcy nowych idei, nowych przekonań, do zapału dołączają także i naukę, wówczas walka nie będzie naoslep prowadzona, nie będzie daremnie sił marnotrawieniem, krzykliwym i bezskutecznym szamotaniem się, nie wywoła w życiu duchowym reakcji, która i na praktyczną stronę także wielki wpływ wywiera.

Jeżeli, dobiwszy się zaszczytnie stanowiska przyświecania społeczeństwu nie pozostaną bezczynnymi na owym piedestale świeczniku, nie oddzielią się murem chińskim, ale przyjmować będą garnących się do nich, podnosić, uszlachetniać, a tym uposobem zwiększać zastęp, czujni jednakowoż, by pokonany przeciwnik nie dopatrywał miejsc słabych w gmachu nowo wybudowanym i w posadach go nie wrzusił; ale pomni na własną przeszłość zstąpią o jeden krok niżej, nie na to, by ustąpić dobrowolnie, lecz, by podać rękę

pomocną temu, co u ich stóp kiełkuje... wówczas to przyspieszą rozwiązanie walki z małą stosunkowo siłą strata.

Ciągły postęp nauki, przeprowadzanie jej rezultatów w życiu praktycznym, zmusza każdego, kto nie chce być obojętnym widzem rozwoju duchowego życia ludzkości, objawiającego się walką myśli i zasad, do obeznania się gruntownie z jedną choćby gałęzią wiedzy ludzkiej. Kto tylko chce czynny wziąć udział w ruchu umysłowym, kto chce przylączyć się do jednego z obozów wielu i wystąpić w walce prowadzonej odrazu na tak wielu punktach, ten musi poznać, zgłębić, przyswoić sobie wszelkie zdobycze naukowe w specjalnym zawodzie przez poprzedników mu przekazane, musi pozyskać wszystkie skarby wiedzy aż po dzień wystąpienia nagromadzone.

Powinien się więc każdy wybrać w podróż naukową w celu odszukania i nabycia pokarmów duchowych z tem pięknym postanowieniem, by stanąć na równym stopniu w umiejętności, co i społeczeństwo, w którym żyjemy, a zresztą, by wyrównać specjalistom, do których każdy przylączyć się powinien, a potem albo o własnej sile stawiać kroki, albo, na mniejszym poprzestając, według praw poznaczonych wyrobić, wykształcić charakter indywidualny i, znalazłszy jakiś ideał, jakąś gwiazdę przewodnią, według niej postępować.

Lecz wprzód zastanowić się nam potrzeba: o ile wiedza wzrosła siłami innych, pracą innych—jest własnością tego, który ją nabył?

Czy zawsze to, co nam inni zostawili w spuściznie, ma być świętem, nietykalnym, a jeżeliśmy co od nich skorzystali—czy tego naszym własnym nazwać nie będziemy mogli?

Rośliny do wytworzenia się wrośnięcia i rozwoju różnorodnych potrzebują pokarmów; same ich nie przygotowują, znajdują je już gotowe powiększej części: a przecież nikt nie ośmielił się zarzucić im kradzieży, ztąd, że same musiały sobie wszystko wyszukać, przerobić, przetrwać, zanim się odziały jasnym listowiem i bujnym kwiecieniem.

Lecz są kwiaty na pozór piękne, mają barwę żywą, wabią oko, podobają się każdemu—a są to przecież pasożyty; dopiero gdy dojrzymy, że one żyją kosztem innych, że na utrzymanie nie pracują, że wpoiwszy korzonki za skórę silniejszej rośliny, która, nie domyślając się zdrady, gościnnie przybyła przyjmując, powoli wysysają z niej wszystkie soki pożywne, aż ją przyprawia o śmierć,—wówczas przekonywamy się, że owe piękne barwy są skradzione; a gdy wpadnie nam w oko czarny trup rośliny jakiejś, wówczas poznamy całą wartość ich piękności, odwrócimy się ze wzgardą—i miłszą nam będzie roślina, choćby najprostszą, choćby najmniej, ale odziewająca się własną pracą, karmiąca się własną siłą.

Tyle codo roślin. A i ludzie pasożyty; ci zasługują na większą p gardę, bo człowiek ma wszelkie warunki, by istnieć o własnej sile.

Są pasożyty ciałem i duszą. O pierwszych nie wiele powiemy, bo ma je każdy kraj, każdy stan każde zbiorowisko ludzkie.

Drudzy nie mniej liczni, szkodliwsi są od pierwszych już tem, że ich trudno poznać—że łatwiej przez nich można być w błąd wprowadzonym, zwłaszcza, gdy zręcznie okrywają swe ciemne płamki—swe ubóstwo duchowe.

Są to ptacy strojni w cudze pióra, bez żadnej treści, bez żadnej wewnętrznej wartości.—Zbyt ostrożni, by wystąpić jasno do walki, szukają sobie postronnych wielbicieli, otaczają się umysłami małymi, płytkimi; wprzód prawią im wiele o swej wielkości, następnie, strojni w pożyczone błyskotki, rozwieszają przed nimi całą swą tandetę i tamują w ten sposób wstęp do prawej i szlachetnej wiedzy!

Mężowie nauki,—to karły wobec pasożytów, geniusze—to bracia przyjaciele najbliżsi, nikt bowiem tak ich dobrze nie pojął nie zrozumiał jak pasożyt; lecz przytem są rozsądni, bo przeczuwając w pobliżu umysł zręczniejszy lub bardziej krytyczny, poprzestają na wielce znaczącym uśmiechu.

Jaką więc drogę obrać w nauce, by nie być pasożytem duchowym, gdy przecież każdy z nas karmi się musi cudzemi myślami—zanim sam czuć i myśleć samodzielnie potrafi?

Kto tylko przyjmie pokarm do umysłu, kto go

przerobi, przysposobi dla własnego ducha, a potem, przetrawiwszy, sobie przyswoi, ten ma go na swą wyłączną własność, i nie narazi się już na to, by powiedziano o nim, że parafrazuje obce myśli, twierdząc iż są jego własne.—Niekażdy z nas jest geniuszem; nie każdemu danem jest odkrywać obce nieznanne światy; ale jeżeli tylko istniejące prawdy pojmi i zrozumie i podług nich życie swe urządzi, wtedy spuścizna podobna wyda plon obfity.

Człowiek, istota towarzyska, mając u nóg swych, bo w królestwie zwierząt, rzeczypospolite mrówek i monarchie pszczoł, wziął trochę od jednych, trochę od drugich, postępując środkiem;—lecz brak mu poczucia jedności, wspólności interesów, mocą którego przez się wzięta jednostka żyćby mogła z tem wniosłem przekonaniem, że pracuje dla ogólnego dobra, a zatem, że sumiennie spełnia obowiązki życiowe. Pszczoła nie przestaje latać od kwiatka do kwiatka, nie przestaje pracować, gdy widzi, że zapasy przez nią zebrane, przewyższają jej własne potrzeby, nadmiar bowiem idzie na cele towarzystwa—na pożytek ogółu.

Niema tam bowiem bezwzględnej równości, istnieje tylko, instynktowne wprawdzie, ale głębokie jakby-poznanie obowiązków obywatelskich—silne poczucie korzyści, jakie jednostka z całości odnosi.

Ludzie, przeciwnie, spełniając zadanie życiowe, tracą często, ów choć dalszy, ale wzniósłszy cel—a kierując się bardziej egoistycznymi zasadami, usprawiedliwiają jednakowoż swe postępowanie dowodząc, że w takim razie mimo woli, mimo wiedzy przyczyniają się do dobra ogółu, bo pracują dla siebie a temsamem dla ogółu; że egoizm powszechnie panujący jest bardzo ważnym czynnikiem, bodźcem do pracy; że świat ani obsolutnie dobrym ani obsolutnie złym być nie może; że bądź-cobądź społeczeństwo na egoizmie jednostek zyskuje a nie traci. Wszystkie te orzeczenia są prawdziwe, wyjąwszy ostatniego, bo czyż godzi się dać prześcignąć w pojmowaniu życia i jego obowiązków, zwierzątku, które instynktownie korzyści własne przeczuwa w korzyściach ogółu; czyż od człowieka, jako od istoty wyższej, rozumnej nie należy słusznie wymagać, by prócz egoistycznego celu życia widział jeszcze jasno cel ogólny przed sobą?

Organizacja społeczna na organizacji pszczoł i mrówek wzorować się powinna; nie wolno jej zgoła opierać się na zasadzie egoizmu.

(Dokończenie nastąpi).

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

I.

W domu czy po-za domem?

(Dokończenie).

Nauka właściwa niezmiernie rzadko może być prowadzona przez matkę, której niemal ogólnie braknie do tego: czasu, chęci i uzdolnienia odpowiedniego. Tu więc zastępstwo urządzone być musi, urządzone być może, ale nie powinno go być, a właściwie niema go, tego zastępstwa, w dziele, mimo całej wielkiej ważności nauki, nad naukę ważniejszym, wyższym: w dziele wychowania. Tu nikt matki wyręczyć nie jest w stanie, nawet ktoś od niej mędrszy, ktoś najlepszych chęci pełen i bardzo umiejętnie, bardzo gorliwie do tego się biorący, a to z przyczyny, że nikt nie może czuć tej miłości, jaką każda matka, wyjąwszy bardzo już egoistyczną, dla dziecka swego czuje i której dziecko, a to jest rzecz główna i najważniejsza, oddaje w zamian uczucie przywiązania bez granic, zaufania bez granic, że samo dobro od niej dostać tylko może. Nawet wtenczas gdy tak nie jest zgoła, gdy wszyscy otaczający widzą, że matka interes wła-

śny nad interes dziecka przenosi, że jest samolubną i niedbałą, że miłość macierzyńska nie była zdolna podnieść jej nad wadę płochości, czy lenistwa, które się w zaniedbanie dziecka przeradza, staje się apatycznym: *jakoś to będzie*; że zatem miłość ta gorącą nie jest, nie jest ową miłością, która „wszystko może, na wszystko się waży i wszystko potrafi“ bo wszystko poświęci,—nawet wtedy dziecko biedne kocha całą mocą uczuć młodych. Czy to jest siła instynktowna, przyrodzona, zwana głosem krwi, siła w wieku dziecinnym najmocniej działająca? Czy wynika to z przyczyny, że dziecko młode jeszcze dla przywiązań swych żadnego równego celu znaleźć sobie nie mogło, i najpiękniejszy kwiat tych pierwocin uczucia, które potem życie na różne przedmioty rozszczepi, matce w skupieniu oddaje? Czy powoduje to urok najwyższy, jaki we wszystkich stanach i u wszystkich narodów matkę od wieków otacza, otacza w tym sio- pniu, że najprostsza nianka, najmniej idealna piastunka, mówi dzieciątku, które ledwo coś seplenić, coś rozumieć poczyna:—To matka!... czyli: To świętość, którą należy się na ziemi najwyższej cześć, najwyższej kochać.... Może wszystkie te przyczyny razem wzięte łączą się, aby miłość dziecka do matki uczynić najpotężniejszym uczuciem, jakiego istota ludzka w wieku dziecinnym i młodocianym doznaje, i fakt to niezawodny, że wpływ matki jest tu najwyższym, że zatem wychowanie macierzyńskie jest w oddziaływaniu swem najdoskonalsze i, jak powtarzam, zastąpić się nie daje. Gdy się zastępstwo to urządza, podstawa się w jego miejsce rzecz już inną: podobną, ale nie tę samą. Nauka, skoro tylko jest prowadzona dobrze, pedagogicznie, w warunkach odpowiadających umysłowi dziecka, będzie jedną i tą samą, ktokolwiek jej udzieli. Jednakowo umysł rozświeci, jednakowo przyczynkiem do wiedzy się stanie, i podwaliną do następnego kształcenia się uczyni; ale z wychowaniem tak nie jest. Przez jakie władze na dziecko głównie się działa, takie władze szczególnie się w niem rozwijają, w takie przymioty głównie przyszłego człowieka się ubogaca, i ztąd powstaje owa różnica ogromna, wychowanie macierzyńskie od wszelkich innych wyszczególniająca. Czy matka myśli o tem, czy nie, dziecko, które jest przez nią chowane, chowa się mimowoli i przez siłę własnego swego uczucia pod działaniem wpływów serdecznych, wyrabia się uczuciowo i dlatego wychowanie synów całkowicie i bez współdziałania ojca przez matkę prowadzone, czyni najczęściej charakter mężki nad miarę, bo nad naturę przyszłych przeznaczeń, zadań męskiego żywota miękkiem, jak przeciwnie, synowie wcale bez wpływu matki chowani, wyjątkowo tylko uczuciowemi ludźmi być mogą. Góruje w nich zawsze ostrość, surowość charakteru bezwzględna, przeważne panowanie umysłu, pierwiastek egoistyczny, który się tylko w naturze ludzkiej przez siłę serca miłosną, przez ofiarność uczucia zatłumia, i potęgę miłości bliźniego poddaje. Zdanie tak już ogólnie znane i uznane, że powtarzanie go, staje się komunałem, oklepanką, zdanie, że kobieta łagodzi obyczaj, ma w tem niezaprzeczonej swej prawdy zasadę, że kobieta przez działanie na serce, żywioł uczuciowy rozwija i w życie wprowadza; matka zaś dokonywa tego przeważnie, bo najpierwsza do działania przychodzi i wpływ swój wtedy wywiera, kiedy wpływ wszelki najsilniej i najtrwalej się zaznacza, bo urabia i niemal tworzy człowieka duchowego, dając charakterowi jego pierwszy grunt, władzom—pierwszy rozpad i kierunek. Matka przygotowuje serce syna dla kochanki i żony, i jeżeli należy to do elementarnych aforyzmów popularnego traktatu o szczęściu i stosunkach serdecznych, aby mężczyzna pierwej poznał matkę, nim się węzłem nierozdzielny z ukochaną kobietą złączy; godziłoby się dobrej tej nauce dać znaczenie szersze i rozciągnąć ją zarówno do mężczyzn: tak człowiek ten kochać będzie, jak go matka kochać nauczyła—jak go udział matki w wychowaniu mniej lub więcej uczuciowym uczynił.

Głęboko filozoficznym, głęboko prawdziwym jest ten wiersz Żmichowskiej w *Pogance*, który opiewa, jak pierwszą wieść o aniele-stróżu życia, o aniele miłości syn od matki dostaje. Gdy zapyta kędy jest ten anioł biały? trzeba, ażeby przy nim mat-

ka jego stała, włos rozgarniała, czoło całowała—bo to ona sama anioła tego synowi swemu stwarza.

Wychowanie macierzyńskie, to wychowanie na zasadzie uczucia, i ztąd w swoich przymiotach, w swoim kierunku niezastąpione; a jeżeli z tego względu tak wielką jest moc jego wpływów na wychowania męskie, jakżeż ta moc, te wpływy w znaczeniu swem potęgują się i rosną, skoro idzie o kobietę, której istotą moralną jest niejako uczucie! Można by prawie powiedzieć, że kobiecość to uczucie, i niejednokrotnie się zdarza, że się z tego synonim, tworzy, i jedno za drugie jest braniem, a kobieta zimnego, oschłego serca, jako osobistość wyrodna, potworna, przez ogół ludzi uważaną bywa. Że doskonałość moralna w kobiecie, jako w takiej, na doskonałości uczucia się zasadza, zaprzeczeniu nie podlega, i ta kobieta najbliższej też do ideału kobiecości się zbliża, która najsilniej kochać zdoła, i przez miłość do największej ofiarności dochodzi. Bez tej najwyższej tkliwości uczucia, bez tego, aby była w stanie co moment, co chwila swoje chęci, pragnienia, upodobania swoje dla ukochań serdecznych poświęcić,—jakże kobieta zdoła znieść trudy macierzyńskiego przeznaczenia, które jej całą dni i noce nad delikatnem jak puszek niemo-wiłątkiem czuwać, własnem istnieniem, bo własną pierśią istnienie to podtrzymywać i potem pierwsze kroki drobnej istoty prowadzić, utrzymywać i wśród tysiąca, matkom tylko znanych, trosk, mozół, niepokoi, trwać lata całe?—i nie znużyć się, nie zmęczyć, nie zniechęcić drobiazgowością szczegółów! Nie starczy na to rozum, który wysoki cel rzeczy ukazuje; na to potrzeba uczucia, któreby było niewyczerpaną dobrocią, łagodnością, słodyczą. I to nie tylko z dzieckiem jedynie: tych przymiotów, na które się promień nasz serdeczny, miłość, na przymacie powszednich dni kobiety rozkłada, tworząc tęczę, która jest jej aureolą, tworząc: tkliwość, słodycz, cierpliwość, pobłażanie i tę łagodność, tę dobrotliwość, delikatność uczucia, które mieć musi, jeżeli sama chce wziąć i innym dać szczęście—tych przymiotów potrzeba kobiecie zarówno jako gospodyni i pani domu, potrzeba ich przedewszystkiem jako małżonce. Oburzam się i zawsze oburzać będę narówni z Jerzym Eliot (Mrs Lewis) przeciwko tym, którzy względnie do życia męczyzny chcą widzieć w kobiecie piękne cacko, śpiewającego ptaszka, wdzięcznie pochylony kwiatek—Rosamundę z jej nicością, nieodpowiedzialnością moralną, jaka musi być udziałem cacek, ptaszków i kwiatków; ale ani mnie to gniewa, ani mi to jako kobiecie uchybia, poniżeniem, upokorzeniem się nie wydaje, jeżeli to ktoś jako postulat małżeńskiego stosunku, serdecznego stosunku kobiety do mężczyzny, stawia, aby kobieta na towarzyszkę życia męskiego obrana, była życia tego pocięchą, wdziękiem i osłoda. Ze wspomnianego wyżej wiersza Żmichowskiej: *Miłość kobiety*, możnaby w tym kierunku katechizm szlachetnych obowiązków kobiecych ułożyć, jak kobieta przez czułość, delikatność, słodycz a razem siłę, podniosłość i odwagę, niczem nie odebraną jej wiarę, nadzieję, stałość miłości swojej,—życie męskie opromienia, osładza, ogrzewa i zagrzewa razem. Że trzeba do tego rozumu, charakteru, woli szlachetnej, jest to rzeczą prostą i naturalną, bo nie zaczęto, trwałego, pożytecznie pięknego bez tych przymiotów, ani kobieta, ani mężczyzna—żaden człowiek na świecie nie zbudował; przecież zasada dla ogółu działalności kobiecej w życiu, dla ogółu obowiązków kobiety w rodzinie, a nawet obowiązków jej jako kobiety w społeczeństwie (siostra miłosierdzia, nauczycielka dziecka) ich gruntem, podwaliną, węglem gmachu jest głównie, jest przedewszystkiem—uczucie.

Zesummowawszy to razem: wielkie znaczenie uczucia w przeznaczeniu kobiety i wpływ, który na rozwój tego uczucia wywiera wychowanie macierzyńskie, łączące się z wpływem życia wśród rodziny, życia przy ognisku domowym, trzeba wychowanie to uznać nie tylko za najlepsze, ale za jedynie dobre. Wszelkie inne o tyle tylko dobrem być może, o ile się do pierwowzoru swego: do wychowania macierzyńskiego zbliża i naśladować je potrafi. A dzieje się to wtedy tylko, gdy władza wychowawcza nie same atrybuta władzy rodzicielskiej przybiera, ale i jej działalność, choć do pe-

wnego stopnia, wywierać jest w stanie, gdy otoczenie dziewczęcia choć do pewnego stopnia charakter rodzinny zachowuje i dom przypomina. Potrzeba do tego nieodwołalnie kółka tak niewielkiego, gromadki towarzyszek o tyle nielicznej, aby dziewczę pozostało wśród gromadki owej osobistością, nie stając się jednostką w tłumie; aby występować mogło przed wzrok, przed troskliwość władzy wychowawczej jako osobistość ze swoją dobrą i złą stroną, którejby nie zacierał regulamin, trzymający wychowanki w porządku szeregowym. To też wszelkie pensje, będące zbiorowiskami licznymi, uważam pod względem wychowawczym za złe, stanowczo złe: mogą to być szkoły mniej więcej wzorowe, doskonałe nawet, nie mniej jako zakłady wychowawcze dobrymi nie są. Śmiało to piszę, a nawet idę dalej: pensje zakładami wychowawczymi zgoła nie są. Są to przede wszystkim szkoły—szkoły, które dla dogodności uczennic ze stron dalszych dają im dach i stół na miejscu; dołącza się do tego pewna opieka, oraz karność, porządek utrzymująca, i nie już nad to, albo bardzo niewiele. Mimo najlepszych chęci przełożonych inaczej być nie może, bo natura rzeczy na nie innego nie pozwala. Dla celów nauki głównie wzniesione, cele te na pierwszym planie mając, z tej przyczyny tak licznymi się czynią, aby liczba przez oddziaływanie swe na ekonomiczne strony zakładu, pozwalała przy koszcie pomiernym, dla ogółu klas średnio-zamożnych przystępnym, na naukę jaknajlepszą. Korzyść tak uprzyświeconej nauki jest ogromną, ale widzimy też, że tu ona, ta nauka, tak na pierwszym miejscu stoi, iż właściwe wychowanie we swoich wymogach pedagogicznych na dalszy plan odsuwa. W wybornej książce angielskiej o wychowaniu: *Principles of Education*, przez miss Sewell, spotykamy się z uwagą, która z początku razi, za nim jej upowodowa nie poznamy. Autorka uważa, że większość dziewcząt wychowujących się po pensjach traci religijność, traci ją wtedy nawet, gdy charakter zakładu pragnie być religijnym i przełożona wielki nacisk na to kładzie. Ale wyrabia to mniej pobożność, a więcej bigoteryę, czyli pobożność powierzchowną, do formulek, praktyk zewnętrznych ograniczoną i w nich skryzalizowaną, co jest rzeczą gorszą nawet niżeli obojętność religijna: bo ta stanowi jakgdyby zdrzemnięcie uczucia religijnego, które jednak przy szczęśliwych okolicznościach rozbudzić się może; gdy tamto samego ducha religijności zwicha, źródło tego uczucia fałszuje i przez spokojne zadawanie się formą pustą, przez rutyniczne w niej zakrzepnięcie przecina wszelką drogę do szerszej, głębszej, rzeczywistszej pobożności. Miss Sewell twierdzi, że urzędowy, w oznaczoną chwilę, za kimś powtarzany pacierz wpływa taki wywiera, bo modlitwę tę odmawia się ustami tylko i uważa się ją za dopełnienie takiego przepisu jak inne, jak na przykład uczesanie się i umycie w chwilach pewnych. Że pacierz odmawiany z matką, pacierz pospołu z rodzeństwem, jest wcale inną, inną rzeczą, każdy czuje; innym jest on również, gdy dziewczę już starsze samo się do niego duchem skupi i gdzieś samotnie, w kątku rodzinnego domu ukłakłszy, sercem się do Boga podnosi. I na pensji mogłoby być to samo, poza modlitwą obowiązującą jako rygor szkolny; ale jedna część wychowanek, obojętniejsza z usposobienia, uważa, że już obowiązek spełnionym został, druga zaś, uczuciem delikatniejsza, na widoku oczu obcych w koszarowej niby sypialni swojej uczynić tego nie może w duchu i prawdzie, a nie w formie i literze. I tak przechodzi dzień za dniem, przechodzą tak miesiące, lata, aż zwolna religijność w sercu młodem martwieje, tępi się—zanika.

Czy Angielka słuszności za sobą nie ma a zarazem czy na pensjach wszystko w tym kierunku odbywać się nie musi? Liczba przynajmniej tu najlepsze chęci, uniemożliwia je, zwicha i do powierzchownego działania ogranicza. Ze względu na liczbę życie uczennic ujęte jest w kluby rygoru bynajmniej nie dla względów pedagogicznych obmyślanego, pomaga on przede wszystkim do utrzymania w karbach odpowiedniego porządku—zgromadzenia ruchliwego hałaśliwego z natury swojej. Jak na tej karności, na tym porządku koniecznym, aby do zamętu, do nieładu nie przyszło, nawet fizyczność dziecka cierpi; jak rozwój organizmu młodocianego w zakładach po-

dobnych pomocy żadnej nie otrzymuje, ale przeciwnie co chwila z przeszkodami się spotyka,—to stanowi już inną, choć bynajmniej nie podrzędną, kwestyę. Moralnie dzieje się to samo: nikt tu dziewczęcia właściwie nie chowa, a nawet w naturalnych pojęciach, w naturalnym rozwijaniu się charakteru niejedno trudnością, przeszkodą się tu staje. Nie tylko w zakładach wychowawczych, ale w domach sierot, w przytułkach dobroczynnych dla wieku młodocianego, przekonano się, że systemat wychowywania w drużynach licznych źle działa na strony ducha delikatniejsze; że rygor szkolny, będący tu jedynym niemal sposobem działania edukacyjnego, więcej powstrzymuje niżeli wykorzysta wady charakteru, na które środków skutecznego wpływu nie posiada, bo pojedynczo występuje wtedy dopiero, gdy już upomnieć, skarcić trzeba. Po nad to ma tylko luźne słowo ogólnej nauki o moralności, ogólnej zachęty do dobrego; o tej zaś troskliwości wychowawczej, o tej mądrości pedagogicznej, która usposobienie dziecka, duchową jego istotę śledzi i współpracuje z nią nad rozwijaniem przymiotów szlachetnych, nad zatłumianiem skłonności zgubnych, już tu, przy wychowaniu w massie, mowy być nie może. Wychowanie tego rodzaju—ryczałtowe, choć zewnętrznie najsurowsze i najmniej swobody dziecku dające,—krępujące je przy każdym niemal moralnym i fizycznym ruchu, wewnętrznie dziecko to opuszcza i edukacyjnie samotnym zostawia.

A przecież mimo to wszystko, pensjonaty, nie tylko u nas, ale w całym cywilizowanym świecie, istnieją licznie i są zawsze zaludnione rojem młodym, co znaczy, że odpowiadają ogromnej potrzebie ogółu—uprzyświecniają naukę i dają ją młodzieży tych klas, które inaczej nigdy-by dla dziecka swego sięgać po nią nie mogły.

Zasługa to ich ogromna, zasługa bardzo wysoka, którą znać, uczcić należy, i jako ważny czynnik w oświeceniu publicznym zaznaczyć. Aby przecież dobro wielkie, które niosą, nie odbierało dobra drugiego, którego wartość najwyższą już znamy, należy im się za bieżącą chwilą czasu obejrzeć i zrozumieć ją. W epoce, gdy nieklasyczne, prywatne szkoły dziewcząt powstawać zaczynały, inny układ społeczny i ekonomiczny, inne klas uwarstwienie i dążność sprawiały, że nie był to taki natłok, takie gromady liczne, za nauką dążące i ztąd pensjonarki szkół owych w liczbie ograniczonej i przy krótszym nauki terminie, mniej były narazone na ujemne strony wychowania po-za domem. Dziś liczba uczących się dziewcząt rośnie i coraz rosnać będzie: czyżby zatem nie godziłoby się pomyśleć, że przedawniony porządek rzeczy coraz szkodliwszym się staje, że należy go w wielu punktach zmienić, w wielu punktach przetworzyć na rzeczy nowe, nowem potrzebom odpowiednie? Otóż na wzór tego jak się dzieje dla chłopców, powinnyby powstawać pensyjki drobne: rozumna, uczciwa matka mająca córki, które się uczą, rozumna, uczciwa rodzina, posiadająca w gronie swoim osobę, wychowaniem kierować zdolną, mogłaby otwierać swoje ogniska domowe dla dziewcząt, ze wsi na naukę przybywających, a szkoła, właściwą szkołą pozostając, niechby się opierała przeważnie na uczennicach przychodnich, pensjonat swój ograniczając do liczby kilkunastu co najwyżej dziewcząt. I to już tak wiele, ale wiem, niestety! że w przedsięwzięciach, które i ekonomiczną stroną uwzględnić muszą, zachód, mozoł ponoszony opłacać się powinien, co jest rzeczą naturalną i godziwą: niemniej jednak dla tych różnych konieczności, które się tu zbiegają, na pensjonarki oddawane by być powinny przeważnie panny potrzebujące już tylko dokończenia edukacji, panny między 15 a 17 rokiem życia, które już grunt wychowania domowego posiadają i długo poza domem przebywać nie będą.

Kto tylko jest w stanie, choćby z ofiarą, choćby z wysiłkiem a nawet z pewnym uszczerbkiem przyszłego posagu dziewczęcia to uczynić, niech córki do tego wieku poza opiekę matki, wpływy rodzinnego życia, poza wpływy tradycyi domowych nie oddaje nigdzie, szczególnie nigdzie daleko, za oczy. Wiem że ulegając potrzebie czasu, małe kółka edukacyjne dla dziewcząt tworzą się pod natchnieniem najszlachetniejszej troskliwości macierzyńskiej; ale dzieje się to zwykle po miastach tylko. Czy prze-

cież rzecz podobna nie mogłaby mieć miejsca i po wsiach? Czyby naprzykład rodziny związane między sobą węzłami pokrewieństwa, lub przyjaźni nie mogły wejść w pewien rodzaj współki edukacyjnej i dla wspólnego celu wyższej nauki córek swych razem kształcić? Dwie, trzy nauczycielki razem zebrane nie przenosiłyby dla każdego dziecka osobno kosztu tej jednej, która w każdym domu oddzielnie uczy, a przy stosownym doborze i rozkładzie sił, przynosiłoby to taką korzyść owoców naukowych, że dziewczęta, na wykształceniu nie cierpiąc, nie potrzebowałyby nadługo poza blizkie sobie koło się wychylać, nie potrzebowałyby czynić tego przedwczesnie, gdy brak czujniejszego na względy pedagogiczne wychowania staje się szkodą ogromną.

Tu przecież występuje dla troski i uwagi rodzicielskiej żywioł nowy. Guwernantka, nauczycielka w domu, to rzecz niemałego znaczenia i w dobrze obmyślanym planie wychowania, w dobrze obmyślanym planie wykształcenia, tworzyć to powinno przedmiot poważnego, gruntownego namysłu.

Marya Ilnicka.

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

III.

List Jmć Pana Wojciecha Poczobutta, do stryja, kanonika Poczobutta.

Miłościwy stryju dobrodzieju!

Nie wiem doprawdy sam, od czego mam zacząć te moje pisanie—tak mi się jakoś kotłuje w głowie po tych wszystkich *impressjach*, jakich teraz doznaję od dni kilku. Nie skłamię, mówiąc, że odkał tu gości pani baronowa Engelhart, dzieją się tu rzeczy istnie jak w „*Arabskich powieściach*“, których zapewne stryj dobrodzieju, jako duchowny i uczony, nie zna, ale ja to czytałem jeszcze w konwicie.

Lecz cóż to ja piszę?... przebacz tę bezładność, najdroższy stryju; ale już zapowiedziałem, że mi kotłuje się w głowie, i nie mogę się dołapać nic logicznej w tym całym systemacie dworu tutecznego. Tu dzień nie odpowiada dniowi, godzina godzinie—ciągły chaos, w którym dominuje tylko „obecna chwila.“

Owoż, pani baronowa Engelhart, rodzona siostra JW. Kasztelana, bawi tu od tygodnia wraz z panem kasztelanem Meleszką, który, jak już wspominałem w poprzednim liście, jest lejtnantem w wojsku austriackim, czyli, jak p. Zaremba wyraża się, w *białych rakach*.

Lecz zanim stryjowi opiszę osobę p. baronowej i p. Januarego kasztelana, wpierw muszę przedstawić nadobne panny kasztelanki. Obie cudnej urody i wielkiego rozumu.

Starsza ma imię Marya, a młodsza Karolina, lecz p. baronowa kazała zwać je od dzieciństwa: *Kara* i *Mara*....

Doprawdy, to jakby na urągawisko przezwąć tak śliczne istoty *Kara* i *Mara*!... Co też tej p. baronowej do łba nie przychodzi!...

Panna Marya jest wzrostu słusznego—i taka wiotka, iż zda się, że to jakaś roślina, którą wiatr kołczy; włos ma czarny, jak skrzydła kruce, a cerę białą, jak śnieg spadły oczy ma czarne, duże i, choć wielce melancholiczne, zda się, wiecznie niby łzawe, wszelakoż, mają w sobie coś tak dziwnego, taką siłę, taką moc nadzwyczajną, że jeśli jej wzrok dłużej się zatrzyma, mimowoli człowiek się zaturbuje i zamąci w sobie. Przytem ja-

koś dziwnie smutna i małomówna. Patrząc na nią myślałbyś, że ma jakieś ciężkie smartwienie. A przecież w takich dostatkach!... Cóż jej braknąć może?...

Panna Karolina—to znowuż nie a nie do siostry starszej nie podobna. Szczuplutka, malutka blondyneczka, oczy ma niebieskie jak dwa turkusy—wечно się śmiejące radością, i zwykle je przy-mruża, gdy mówi figlarnie; usteczka, to doprawdy jak dwa listki róży!... słowem, jest to istne malowidło, ożywione duchem bożym, — przytem jaka szczebiotka!... tykoco mówi to, znowu owo, a co-za dowcip w każdym słowie!... Gra na klawikordzie jak anioł—i śpiewa przecudnie... Niech mi stryj dobrodziej wierzy, że takiej cudności jeszcze w życiu nie widziałem.

Mówił mi p. Zaremba, że obie panny kasztelanki mają już narzeczonych: starsza—generała Borejszy; a młodsza—starościca lidzkiego, Imię pana Römera. Pana starościca już poznałem: jest to bardzo udatny młodzieniec, i o ile uważałem, wiele zakochany w p. Karolinie.

Pana generała Borejszy, odkąd jestem w Meleszkowie, nie było ani razu. Mówią, że choruje na podagrę — jest to już bowiem wiekowy człowiek, ma lat pięćdziesiąt parę — lecz p. baronowa chce koniecznie wydać za niego synowicę dla niezmiernego jego fortuny.

Pan lejtnant, kasztelan, jest to ogromny mężczyzna, barczysty i muskularnej siły. Włosy ma tak jasno-blond — jakby to był *szczyry len!* i wasy także, które nosi z węgierską, to jest sztorcem do góry. Szczególnie jest rozmiłowany w swoich wosach, srebrnych ostrogach i białym mundurze ze złotymi szamerunkami!

Nie jest on szpetny, lecz ma oczy niebiesko-porcelanowe, a usta tak dumnie odęte, jakby u samego Jupitera.

Udaje wiecznie mądrego, a prawi same głupstwa, pogardza ludźmi biednymi, jakby nie z jednej gliny jak inni był ulepiony... Ojciec dla niego, zda mi się, nie jest zbyt czułym—również jak i on dla ojca.

Ciotka tylko w nim szalenie rozmiłowana. Ah! ta p. baronowa, to jakaś zamorska istota: nie mówi słowa po polsku, jeno po niemiecku, albo po francuzku, a szczebiocze ciągle jak sroka; stara już, bo stara, to znać po obfitych zmarszczkach na twarzy, lecz róż, bielidło, peruka i jakieś czarne plasterki na twarzy, niby jak u tego, co-to, się goliąc zaciął brzytwą, robią z niej jakieś nieboskie stworzenie.

A strój jej!... Panie odpuść, to istna maskarada! loki, kokardy—złotości, brylanty... Wszystko to, przypinane do czarnej peruki, piętrzy się niby wieża Babel na głowie! Suknie nosi z termofłamy w złociste kwiaty, a długi ogon powłóczy po ziemi, niby czapła, gdy łązi po bagnach.

A coto za fumy! fochy!... jaka pogarda dla biednych ludzi!... bo p. baronowa jest wielce bogata, i dlatego widzi mi się, że p. Kasztelan tak ją wielce estymuje!...

Pan Zaremba nazywa ją „Potoroczą“—nie wiem dobrze co ten wyraz znaczy — wszelakoż sądzę, że nie musi być komplementem!...

Wezoraj był bal z tańcami — muzyka brzmiała aż do dnia białego. Panny kasztelanki wyglądały jak dwa białe anioły,—a p. baronowa jak monstrualna „Pycha“, która, wszystkie kosztowności pokładła na sobie, żeby niemi pogiębić inne domy z sąsiedztwa, które tego tak dużo nie mają!

J.W. kasztelan dozwolił łaskawie, abym i ja się znajdował na balu; lecz ja byłem wielce oniesmie-lony, patrząc na ten lux i wykwiłt ubiorów młodych panów; ja, chudy pacholek i dworzaniek pana Kasztelana, i aczkolwiek miałem na sobie *nowiutką* taratatkę szafirową, wyglądałem bardzo ubogo przy bogatych strojach innych.

Nie śmiałem tańczyć, choć mię do tego upoważnił p. kasztelan January, co było dowodem jego wielkiej łaskawości dla mojej niegodnej osoby... Siedziałem sobie na uboczu, i wciąż patrzyłem tylko na cudną p. Karolinę... Doprawdy! stryjasku, zdało mi się, że to istota nie z tego świata... Gdy tańczy, to się zdaje, że nie dotyka ziemi—fruva niby ptaszę; gdy się uśmiechnie i przy-mruży swoje niebieskie oczy, to myślisz, że słońce schowało się za mgiełkę; a gdy zagada swoim srebrnym głosi-

kiem, to muzyka... istna muzyka — której-byś chciał słuchać całe życie! ...

Przez nadzwyczajną swoją dobroć zbliżyła się do mnie i rzekła najuprzejmiej:

— Czemuż to p. Albert nie tańczy?

— Ja pani! — odrzekłem cały spurpurowiały — ja... nie śmiem.

— A, co to nie śmiem? — idź pan *odbijanego* — teraz właśnie robimy koło mazurowe. Wszak pan umiesz mazura?

— Umieć pani.

— To dobrze.

Co powiedziałwszy, znikła, a mnie się zdało — że cały salon kręci się w moich oczach, niby skrzydła wiatraka... jakoś tak mi dziwnie zakotłowało w głowie.

Nareszcie, gdy pary mazurowe zaczęły pisać, odbijać... ja myślę sobie: a gdybym ja też *odbił* pannę Karę, co właśnie tańczyła z p. Römerem, owym starościcem lidzkim, bardzo udatnym i wiele światowym młodzieńcem; przecież mnie sama zachęcała do tańca, to może i nie odmówi... a przyznam się stryjowi, że mnie nagle porwała szalona próżność pokazać tym bogatym paniczom, że i ja chudopacholek umiem tać cięć mazura — jakby i sam mazur; lecz, spojrzawszy na swoją taratatkę, i pyszny strój starościca, co się ubiera po zagranicznemu, rzekłem w duchu:

— Byłbyś głupi, gdybyś chciał *odbijać* kasztelankę od takiego pana! — On-by ci nie dał dotknąć jej ręki, i *skonfuzył*byś się tylko!...

Zostałem więc na miejscu, lecz markotno mi było w sercu, że moje ubóstwo nie dozwala mi choć w tańcu dotknąć tej cudnej rączki p. Karoliny.

I po raz pierwszy w życiu pozazdrościłem losu bogaczom; a choć wiem, że to wielki grzech zazdrość ziemskiej mamony, wszelakoż — wypisuję to wszystko najdroższemu stryjowi, jakby na spowiedzi, bo od dzieciństwa przywykłem nie przed nim nie tać! zresztą, są chwile, w których człowiek nie może niczego przed światem ukryć!...

Panna Marya była jakoś dziwnie melancholijną tego wieczora. Nie wiem — może cierpiała... tańczyła mało, i uśmiechała się jak przez sen, gdy który z młodzieży prawił jej jakie madrygały... Przed końcem zabawy udała się do swoich pokoi — i już nie wróciła na salę. Pani baronowa mówiła, że cierpi mocną migrenę i przeproszała gości za jej nieobecność.

A trzeba wyznać, że tak była cudnie piękną tego wieczora — jak nigdy jeszcze; oczy jej czarne duże powłóczyły, miały blask gwiazd wśród zimowej nocy, a twarz jej biała, niby śnieg, odbijała od tych czarnych oczu i czarnych włosów!

Gdy wychodziła z salonu, skinęła na mnie i rzekła z wielką grzecznością:

— Panie Albercie, bądź tak łaskaw i poproś do mnie p. Zarembę; niech natychmiast przyjdzie!

Spełniłem rozkaz panny kasztelanki. Pan Zaremba — wdychając, i jakoś z dziwnie zafrasowaną miną, udał się do pokoju p. Maryi. Nie pojmuję jaki mogła mieć interes do pana rotmistrza o tak spóźnionej porze, była już bowiem godzina pierwsza z północy.

Ale co mi do tego! — ja nie ciekawym spraw cudzych, tembardziej wielkich dam!

Tymczasem p. Kara tańczyła, śmiała się, pokazywała swoje perliste zębki, przy-mrużała niebieskie oczęta, i dla wszystkich równie była uprzejmą, lecz na mnie już ani spójrzała; snadź obraziło ją to, że nie usłuchał rozkazu tańczenia mazura i nie śmiał wystąpić w *odbijanego*!...

O p. Karo! ja na twój rozkaz Bóg wie, cobym nie uczynił! — ale... to był tylko kaprys z twojej strony, nie więcej, — bym ja, biedny Wojciech Poczobutt, stanął obok świetnego starościca Römera.

Kończę mój list drogi stryju, bo sam nie wiem dlaczego, ale mi łzami oczy zaszyły: widać, że wczoraj długo w noc pracowałem nad rachunkami.

Ściele się do stóp stryja dobrodzieja,
pokorny i obowiązany synowiec —

Wojciech Poczobutt.

IV.

Wprowadzam teraz czytelnika na pokoje panny Maryi kasztelanki. — Opuściła ona bal dla migreny, jak twierdzi p. baronowa, jest więc sama.

Kazała garderobianej zdjąć z siebie wszystkie złociste ozdoby i przywdziała czarną jedwabną odzież, a bujny warkocz rozpuściła po plecach — i o dziwo! była jeszcze cudniejszą niż w balowym stroju. I było na niej wszystko czarne, i włos i oczy, i odzież; jeno lica białe, blade, ale tak białe, iż się zdawać mogło, że w nich kropli krwi niema!...

Rzuciła się w fotel jak omdlała, i tylko wachlarzem chłodziła te blade lica, na których kropli krwi nie było.

Bał w wszystka krew uciekła do serca. Ona cierpiała, strasznie cierpiała, a nikt jej nie rozumiał!...

Pan Zaremba zjawił się w dobry kwadrans czasu. Panna Marya na jego widok zerwała się nagle i rzekła głosem przyciszonym:

— Widziałeś pan Gerarda?

— Tak, J.W. Kasztelan, widziałem dzisiaj kniazia Sołohuba — i...

— I cóż ci mówił — kiedyż przyjdzie widzieć się ze mną?...

— Mówił... mówił... to jest rzekł, iż *nie ma prawa* widzieć pani!...

— Co to jest?... jakie to są słowa, ja ich wcale nie rozumiem!... zakrzyknęła prawie kasztelanka, i wachlarz drogocenny rzuciła o ziemię, który się rozbrzyznął w kawałki.

— Więc nie przyjdzie? — zapytała powtórnie, ale już spokojniejszym głosem.

— Nie! — było całą odpowiedzią Zaremby.

— Ha! to ja pójdę do niego!...

— Ależ to być nie może!... pani! jechać do leśniczego... o tej porze, to *scandalum*!... jeśli by ludzie poznali!

— Panie Zaremba, nie przywołałam pana, abys mi dawał rady i uwagi — odparła dumnie kasztelanka — Ja prosiłam pana jako przyjaciela, byś mi usłużył w bolesnej chwili życia mego!... byś mnie nie zdradził!... i tobie jednemu zaufałam; ale o rady nie proszę: jeśli książę Sołohub nie chce wejść w moje progi, to ja — ja sama wejdę w jego progę!...

— Pani! — zawołał ze łzami pocziwy rotmistrz, ja cały jestem na twoje usługi; rozporządzaj mną, jak swoim sługą, który od lat tylu je wasz chleb; pójdę za tobą gdzie każesz!... ale... pamiętaj pani, że książę Sołohub jest *banita*! i jeśli-by go tu poznano!...

— Więc dla tej przyczyny, nie przyszedł na moje wezwanie? — by go tu nie poznano?

I Marya rozśmiała się — ale dzikim spazmatycznym śmiechem.

Pocziwy Zaremba przeląkł się tego śmiechu, i pomyślał w duchu: — chyba ona oszalała!... co ja tu pocznę?

I rozbeczał się jak dziecko.

Przez długie pięć minut trwało z obu stron głębokie milczenie. Zaremba chlipał, a kasztelanka patrzyła nań sucho, zimno, prawie z rodzajem pogardy... nareszcie rzekła z dziwną ironią w głosie:

— Więc pan łzami tylko udawadniał mi swoją życzliwość?... dobre to dla dziecka, ale nie dla mnie. Panie rotmistrzu, bądź „mężem“... patrz, że ja „kobieta!“ co kocha i co się potrafi poświęcić dla tego, co kocha... a wiesz pan przecie, że Gerard jest dla mnie najdroższą istotą na ziemi! — wszak wiesz najlepiej, że od od lat dziecińczych wzajemnie się kochamy!... że mogę śmiało powiedzieć „Bóg nas stworzył, jedno dla drugiego“ — a mówiąc tak, nie grzeszę!... bo czuję tę prawdę w mej duszy!... Jeśli nizkość zamiarów ludzkich chce nas rozłączyć... czyż więc sądzisz, że ja się przyłączę do tej nizkości!?

Gdy to mówiła, głos jej drżał, miękł, z ironicznego stawał się łagodnym, czułym i znać było, że ją wielka boleść zawładnęła, gdyż łzy duże perliste potoczyły się jak grad po alabastrowych licach!

Co ujrzawszy, zacny rotmistrz, choć sam załzawiony, nie mógł znieść łez dumnej kasztelanki, której nikt dotąd nie widział płaczącą — i tak go to ubodło w serce, że rymnął na oba kolana, niby kolos podcięty — i jęknął z głębi piersi:

— Panno Maryo! dziecię moje drogie! ja wszystko dla ciebie uczynię... pójdę nawet do piekła, jeśli każesz!... a toć cię znam od małego robaczka... albowiem to cię nie हुआ na kolanach, albowiem ci kwiatów nie rwał po łakach, i orzechów w lesie!... Wiem, żeś ty anioł i dobroci i rozumu, i litości dla biednych... wszyscy cię kochają, od starca do dziecka małego — do psa nawet, a jażbym cię nie miał kochać?!

I tu już staremu słów zabrakło, tylko łzami i łkaniem dopowiadał resztę.

Kasztelanka tem wzruszona, zrazu nie mogła nie odrzec; przystąpiła tylko do rotmistrza, ujęła jego dłonie i szepnęła cichutko: powstań!... kłęcz się tylko przed Bogiem, kiedy doń myślą sięgamy! Rotmistrz uznał słusność uwagi, podniósł się, wyprostował, otarł łzy kufakami, i rzekł, już prawie ju-nacko, dodając sam sobie ferworu.

— Jestem ślepo na rozkazy JW. kasztelanki.

— Najpierw, proszę cię, p. rotmistrzu, nie nazywaj mnie JW. kasztelanką, to dobre dla liberyi dworskiej... mów do mnie zawsze „p. Maryo“ lub „Maro“ jak chce ciotka, dodała z lekkim uśmiechem; a ja, zawdzięczając ci przysługę, której obecnie żądam... od czasu do czasu, przypomnę ci dawną „Marylkę“, dla której łamałeś gałęzie leszczyny, by jej przynieść orzechów — i powiem ci tak samo, jak owa ośmioletnia „Marylka“:

— Dziękuję ci, tatko Rębusiu — a czemu tak mało?

Zaremba zarehotał łzawym serdecznym śmiechem, — i, porwawszy malutką rączkę kasztelanki, przycisnął ją namiętnie do ust; ona zaś, z majestatem swojej naturalnej maniery arystokratycznej, z gościem Junony, pochyliła slichną główkę — i lekko pocałowała w czoło p. rotmistrza.

Pan rotmistrzu! sześćdziesięcioletni starzec! dostał pocałunek w czoło od dwudziesto-czteroletniej panny, i to tak pięknej panny!... to można oszaleć z radości!...

Wprawdzie całowała go nieraz panna Marylka, za orzechy i za polne kwiatki, ale wówczas była taka malutka! A trzeba wiedzieć, że Marylka, była to od najmłodszych lat — słabość p. rotmistrza, mawiał zwykle: „albo to będzie cudo, albo to się nie uchowa, takie to piękne, mądre i dobre!... a naturalne! a naturalne!“ „Naturalność“ bowiem, p. Zaremba uważał za najwydatniejszy objaw *bóstwa* i *mądrości*.

— „Co sztuczne a udane, to pochodzi od szatana — było jego maxymą — a co proste i naturalne, to pochodzi od naszego Zbawiciela.“

I w tem się zamykała cała filozofia starego wojaka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Przyjęcie, jakie spotkało *Maryę* po jej ukazaniu się na świat, tłómaczy doskonale jeszcze: jaki był stan w owej epoce naszej literatury i jakie usposobienie naszej czytającej publiczności.

Maryja była drukowana poraz pierwszy w Warszawie u Glücksberga w roku 1825. Chociaż jednak czytamy na tytule, że wyszła nakładem tego księgarza, przecież, jak powiada gen. Załuski, nie tylko, że nie przyniosła korzyści autorowi, ale jeszcze przyczyniła mu kosztów, co znaczy, że wydawca nie tylko nie zapłacił za rękopism, ale jeszcze żądał zwrotu kosztów druku. Pisma poważniejsze, bez wyjątku prawie, i co dzienniki nie zaniedbały dopełnić miary: krytycy *ex professo* surowo osądzili poemat. Pomysł, wykonanie, język, wiersze — wszystko to było, według ich zdania, dziwne, niesforne, niepoprawne i twarde. Wspomnienie Ukrainy i jej stepów uznano za dziwaczne i śmieszne. Z politowaniem mówiono o poecie, który kaleczył język

i gwałcił wszystkie prawa wierszowania i estetyki poetyckiej (*).

Nawet ludzie z wyższym wykształceniem nie potrafili się oswobodzić od tak przeważnych wpływów swojego czasu. Mieliśmy ciekawy przykład w tym względzie, w wyżej przytoczonym liście generała Załuskiego (**).

Publiczność mniej jeszcze zrozumiała poemat niż nasi Warszawscy Arystarchowie. Z zdziwieniem i obojętnością przyjęła *Maryę*, której sama powierzchowność szara, bibułowata, powszednia, nie przyciągała ku sobie i nie wabiła choćby tylko zewnętrznym blaskiem. Książka nie miała żadnego wcale odbytu. Jak widzieliśmy wyżej, kilkadziesiąt jej egzemplarzy, złożonych w domu przyjaciół autora, nie znalazły ani jednego nabywcy, a przecież nie cena wysoka odstraszczać mogła od nabywania; cena ta była, przeciwnie, niską. Ostatecznie, koszta wydania pozostały niepokrytymi.

Po tej obojętności powszechnej, która spotkała *Maryę*, nastąpiło wkrótce coś gorszego: głębokie milczenie; pokryło ono i autora i książkę.

Czemu to przypisać? oto temu: że wydanie *Maryi*, podług sprawiedliwej, choć może mimowolnej, uwagi Załuskiego, było *zawczesnem* i widocznie zostawało w zupełnym przeciwieństwie z tem, czem żyło wówczas nasze piśmiennictwo i czem się karmiła czytająca u nas publiczność.

Taka-to jest pierwsza, a przecież jeszcze nie najdziwniejsza szczególność tej książki.

Godne większego jeszcze podziwienia i zastanowienia jest to, że *Maryja* stanowi pierwsze i jedyne dzieło Malczeskiego, przekraczające obręb zwykłych wierszy okolicznościowych lirycznych. Zwycię w dziedzinie poezyi i w ogólności w dziedzinie sztuk pięknych i literatury, rozmaitość dzieł każdego pisarza lub artysty pozwala określić sferę,

(*) Jedną z takich krytyk nieprzyjaznych dla poematu i poety zamieścił w swojej *Bibliotece Polskiej* z r. 1823 (T. IV, str. 76 — 85) Fr. Salezy Dmóchowski, gorący wróg romantyzmu. Zarzuca on poecie gust nieuczulony „krzywe“ pojęcie poezyi i gminność wyrażań; przyznaje wszakże talent i wypowiada nadzieję, że M. kiedyś przy pracy powiększy grono dobrych pisarzy. Zabawne są przykłady przytoczone na dowód gminności wyrażań i zabawniejsze jeszcze propozycje poprawienia tego, co wrzeczono złe. Ton krytyki lekceważący objawioną siłę twórczą poety, wiele bardzo zaszkodził biednemu Malczeskiemu. Nikt już *Maryi* czytać i kupować nie chciał, skoro była poematem bez rzeczywistej wartości, będącym od początku do końca „ciągłą mordującą zagadką“. We dwa lata dopiero po śmierci poety nastąpiła reakcja; pierwszy objawił ją M. Grabowski. Zaznaczył on w *Dzien. Warszawskim* z r. 1828 w art. „Myśli o literaturze polskiej“ pogląd na *Maryę*, biegunowo przeciwstawiający się narzucanemu do owego czasu przez klasyków; rozbiór jednak właściwego nie wygłosił, przerwawszy nagle i same „Myśli“. Mochnacki czytał jego rękopismo i zachwilił w traktacie *O Literaturze*, mieniając młodego jeszcze wówczas M. Grabowskiego „jednym z najznamienszych krytyków naszych“. To, co sam Mochn. w pomienionem dziele (wyd. 2-e, str. 141 — 159), o Malcz. i jego utworze mówi, jest nie tylko zupełnym przywróceniem poety do cześci mu należnej, ale i podniosłym hołdem dla jego talentu. Prowadzenie rzeczy nazywa ten krytyk „mistrzowskim“, uwydatnia zdolność idealizowania przedmiotu, uważa poetę za prawdziwego artystę, poczynającego sobie umiejętnie agłęboko, podziwia wreszcie piękność malowideł stepowych „Za sprawą jego co przypadło w historii nowe poetyckie życie odzyskuje“ (str. 149). Poryw Mochnackiego powściągnął klasyk nowego rodzaju, klasyk-demokrata S. Goszczyński w tym samym *Pamiętniku powszechnym nauk i umiejętności* (Kraków 1835), w którym wykazał także wrzekomą nicość komedyopisarstwa Fredry. Twierdzi on, że ani paż, ani Maryja, ani Wacław nie są narodowymi; dobry jest zato Miecznik, Wojewoda — widmo raczej niż człowiek — dobre są obrazy Ukrainy nadbożańskiej i mistrzowskie wyprowadzenie uczuć. Zapomina tutaj S. G., że to ostatnie jest samo już najwyższą poezją. Język w mowie Miecznika a w części i Maryi dobry — w całości poematu nie chwalebny. Ostatecznie wyrokuje autor, że jakkolwiek *Maryja* nie jest utworem zupełnie narodowym, to jednak „zbliży nas wielkim krokiem do czysto-polskiej literatury“. Po Goszczyńskim najpierwszy odezwał się o *Maryi* Miekiewicz (*Prelekcya* XIII z r. 1841/2).

(**) *Bluszcz* N. 35, str. 270. (Przyp. Red.)

w której się rozwijały jego umysłowe zdolności. Można obliczyć, że tak powiem, stopnie, po których talent lub geniusz wstępował coraz-to wyżej, póki nie stanął na tej wysokości, gdzie blask jego najczystszy już zajaśniał światłem.

Zdarza się czasem, zapewne, że talent, nawet prawdziwy, tę drogę postępu nierównym przebiega krokiem; że się zatrzymuje nagle; że się cofa zamiast iść naprzód. Ale jakakolwiek będzie długość drogi i czas na przebieżenie jej potrzebny, jakkolwiek natężenie i wyniki usiłowań twórczych — to jedno przecież zostaje niestartem zawsze i wszędzie, że postępek daje się widzieć w całości przebieżonej drogi i ślady wyraźne po sobie zostawia. Od pierwszych więc, niepewnych, młodzieńczych pokuszeń aż do pełni, z jaką się objawia nakoniec dojrzały i pewien siebie talent, — różnica łatwo się daje spostrzedz.

Z Malczeskim inaczej się dzieje: jego poemat, jakby bajeczna Minerwa w całym uzbrojeniu, zupełny, skończony, doskonały — ukazał się na świat, chociaż żaden choćby najmniejszy utwór jego pióra nie zwiastował, nie przepowiedział tego objawienia się wieszczego geniuszu (*).

Pierwszy więc krok jego i, niestety, ostatni, był krokiem olbrzyma. Wytłómaczenie tego, tak niesłychanego, zjawiska, znajdziemy może w dwóch następujących przyczynach; najpierw, jeśli Malczeski nie zostawił wyraźniejszych prób swojego poetycznego talentu, to dlatego, że jego czuła, nadzwyczaj żywa wyobraźnia w życiu osobistym znalazła zbyt obszerne pole działania. Miłość i chwalebna, te dwie najpiękniejsze, najszlachetniejsze pobudki poetów, to jest: miłość ojczyzny i namiętne uwielbienie kobiety — można powiedzieć porwały duszę i serce Malczeskiego przy pierwszym jego wejściu na świat ze szkolnych ławek.

Miłość, będąca potrzebą i życiem kochającego, namiętnego serca — miłość, ta potęga, której się nie oprzeć nie może, której już starzy Grecy i młodzi Rzymianie na najdawniejszych pomnikach dawali imię *Niezwykłej*, pisząc na jej ołtarzach i posągach te słowa: „*tu sola nica*“ — miłość, jak'śmy to już zauważyli w życiu Malczeskiego, posiadała jego młodą, z pączka jeszcze rozwijającą się wyobraźnię; lecz za ledwie niepewnym krokiem przestąpił progi świątyni straszliwego bóstwa, gdy oto trąby wojenne wezwały go na inne pole, na którym stanął, że jego własnych użyjemy wyrazów:

... kochanki swojej łzami zapłakany.

Młody, piękny, namiętny, rzucony jakby w otchłań tych strasznych i wielkich wypadków wojennych owego czasu (1812 — 1815), wśród nieustannych niebezpieczeństw i odurzających nadziei, Malczeski znalazł się w rodzinnej swojej Warszawie, którą porzucił był dzieckiem, do której wracał teraz młodzieńcem w tej Warszawie, tak świetnej w owe pamiętne czasy, wśród tego towarzystwa stolicy, do którego urodzenie i osobiste wysokie przymioty natychmiast wejście mu otwarły. Pię-

(*) Przed ogłoszeniem *Maryi*, prócz wiadomego Listu do prof. Picteta, który w przekładzie Józefa Reiznera znajduje się przy wydaniu Bielowskiego (Lwów 1838), Malczeski drukował tylko w jednym z pism polskich w latach 1820 i 1821 trzy powiastki a raczej ćwiczenia, w literaturze nadobnej: *Ifigenia, czyli skutki niewierności*, *Atenais* i *Podróż*. Te powiastki wraz z czterestawierszową kompozycją *Do Julii* i 4-o wierszowym ucinkiem (epigramatem) do *Piotra i Pawła* pomieścił w pomienionem swoim wydaniu Bielowski. W r. 1858 Wójcicki dołączył *Ode do Wojny* z albumu Fr. Skibickiego (*Cm. Pow.*; T. I, str. 248). Są jakieś pomniejsze utwory Malcz. w wydaniu Warszawskim *Maryi* z r. 1857 (2 tomiki), ale wydania tego nie znamy; nie posiada go ani nakładca, ani wydawca literacki (K. Wł. Wójcicki), ani Biblioteka Główna w Warszawie.

W rękopismach zabranych, jak wyżej, przez p. Karola Kossowskiego znajdować się mogły następujące utwory, których ślad zaznaczyli znajomi poety: a) Listy wierszem i prozą na wzór Krasickiego, b) Satyra *Karnawał Warszawski*, c) parę aktów tragedyi *Helena*, d) powieść historyczna *Samuel Zborowski*. Na początku przeszłego roku pisma codzienne ogłosiły nieznaną wiersz Malczeskiego, wypisaną z jakiegoś albumu. (Przyp. Red.)

ność kobiet podnosił tu jeszcze ten niesłychany powab jakiś, złożony z ich wdzięków, zalotności i umysłowego wykształcenia — powab, któremu nie się oprzeć nie mogło, jak świadczą wspomnienia współczesne tylu znakomitych ludzi swoich i obcych — powab, który się stał przysłówiem, i jakby jedynocześnie wyrazem, z imieniem Polki.

Można więc wyobrazić sobie jakiego rodzaju żywe poemata musiała wytwarzać młoda i gorąca dusza w tak ognistej, trawiącej atmosferze życia! Nie był to czas do gryzienia pióra i do szukania końcówek; żywe pałające rymotwórstwo duszy rozpoczynało się z każdym dniem prawie nanowo, a nie kończyło się nigdy, pochłaniając wszystkie zasoby umysłu i serca!

Tam, w tych zaczarowanych ogrodach Armidy, spotkał Malczeski kobietę, jak mówią poeci, połowę swej duszy, której miłość miała się stać dla niego rajem i piekłem, i której wpływ wszechwładny odbił się w każdym prawie wierszu *Maryi*, bo poemat jest tylko jakby odzwierciedleniem tej miłości, tego szczęścia i tej straszliwej boleści, co przeszła serce Malczeskiego po zerwaniu stosunków, w których widział życie swe, świat cały, całą swoją przyszłość!...

Dlaczego *Marya* tak skńczoną, tak pełną, tak doskonałą i piękną wyszła spod pióra poety? Bo streścił on w niej to wszystko, cokolwiek sam czuł i cierpiał, wszystko, co ukochał tak umiejętnie, wszystko, co utracił w życiu — ojczyznę i kochankę! Ztąd pochodzi jeszcze, że *Marya*, jakkolwiek ze swej formy jest niby historyczną powieścią, w gruncie jest prawdziwą elegią i jednym z najczyściej osobistych utworów, jakie nam zostawili poeci, czy starych, czy nowych czasów.

Następny rozbiór *Maryi* poda nam sposobność do wykazania i udowodnienia tego lepiej i jaśniej. Tutaj musieliśmy poprzestać jedynie na wskazaniu przyczyn: dlaczego Malczeski nic innego nie stworzył prócz *Maryi*? i dlaczego *Marya* jest tak doskonałym i w swej całości tak zupełnym — chociaż pierwszym zarazem i ostatnim, łabędzim jego śpiewem?

Teraz musimy jeszcze wyjaśnić trzeci i ostatni punkt powyższego założenia: Co jest wyłączną, wybitną główną cechą poezji Malczeskiego? to jest: na czem właściwie zależy jego oryginalność jako polskiego poety? Ale to potrzebuje najpierw wstępu, krótkiego wykładu samego poematu, a potem rozbiór i wykazania szczególnych, jemu tylko właściwych form i obrotów języka, użytych do oddania tej niezmiernie, głębokiej smętności, na której tle posępnie rozwija się cała akcja i która daje ujście tej nuci, niesłychanej *rzewności*, będącej jakby piętnem i godłem poety.

W rzeczy samej uczucie *rzewności* jest tak wyłącznie przynależnym Malczeskiemu, że drugi a jedyny przykład tego w dziedzinie sztuki znajdujemy tylko w muzycznych utworach współczesnego i jakby Malczeskiemu pokrewnego, talentu drugiego Polaka, Fryderyka Szopena.

Jedna rzecz zawsze niepokoiła myśl moją: że ci dwaj ludzie, nieznanzi sobie, chociaż współcześni i niewiele różniący się wiekiem, bo Malczeski był starszym od Szopena o lat 16 tylko, obaj urodzeni w Warszawie, i których twórczy, poetyczny geniusz śpiewał na jedną, tęskną, również polską, również *rzewną* nutę — że ci dwaj ludzie tą samą prawie drogą szli na kalwaryę życia, czerpiąc natchnienie z tych samych, pięknych źródeł uczucia, od miłości też samo pomazanie na męczeństwo otrzymali, przebolawszy, zesli młodo ze świata — pierwszy w ostatniej nędzy i zapomnieniu, drugi w szczęściu i chwale.

Sam wybór przedmiotu dowodzi już, że Malczeski czysto i jasno widział swoją drogę i że żadne wymagania sztuki nie było obcem jego talentowi, co dojrzał i zmędział w gorzkich zapasach z życiem. Przedmiot poematu jest to jeden z najdramatyczniejszych wypadków naszego społecznego życia z ostatnich czasów istnienia państwa. Wypadek ten, niezawikłany wcale, prosty, można powiedzieć, brutalny, w całej swej zbrodniczej ohydzie, uderza swawolą bezprawia i samowolnością możnowładztwa.

Główną przyczyną, jak wszystkim wiadomo, tej okropnej, domowej tragedii, było ożenienie się bez zezwolenia ojcowskiego młodego starosty Belz-

kiego z córką starosty Nowosielskiego. Na owe czasy, których już dzisiaj dobrze nie rozumiemy, był to prawdziwy *Crimen laesae majestatis*. Kar-mazynowy pan, żeniący się z córką prostego, choć dawnością rodu szczytającego się, szlacheica, był to już pewien rodzaj publicznego zgorszenia; ale syn wielkiego magnata, jak go nazywano „Krolika“, żeniący się w ten sposób i to wręcz woli ojca — była to rzecz niesłychana!

Ojciec, pan Wojewoda, co nawet w Polsce i w owym czasie był znany ze swej dumy i ze swego zuchwalstwa, po takim akcie *rebelii* ze strony syna, kazał porwać synową z zamiarem, jak powiadano potem, wtrącenia jej do klasztoru; ale wysłany na tę wyprawę a gorliwy sługa i podnózek, wyprzedzając niby dowolnie zamiary pańskie, utopił porwaną w rzece, gdzie z końmi i saniami zniknęła pod lodem, który, jakoby się przypadkiem załamał w przeprawie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań 20 Września 1878 r.

Żądacie odemnie peryodycznych odgłosów życia umysłowego, politycznego i społecznego w naszej dzielnicy. Zadanie to niełatwe, zważywszy, iż miasto Poznań, starodawna Wielkopolska stolica, od pewnego czasu traci stopniowo swój charakter ogniska i punktu środkowego całej prowincyi. Rozstrzelenie interesów, załatwiających się w znacznej części na miejscu, bez konieczności zdążania jak dawniej do stolicy, upadek finansowy, zawiłe stosunki publiczne, a wywiązujące się ztąd zawiłkiania społeczne, nareszcie brak życia towarzyskiego, domów otwartych, salonów — w grodzie naszym: oto główne powody owej decentralizacyi, która nas uderza, utrudniając zarazem sprostanie zadaniu kronikarza; chcąc bowiem spisywać bieżące wypadki i wrażenia, należy przedewszystkiem z odpowiedniego stanowiska zapatrywać się na ludzi i rzeczy, ażeby żadnego wydatniejszego nie pominąć szczegółu. Otóż Poznań nie może być uważanym za najkorzystniejszy punkt obserwacyjny dla korespondenta, ponieważ nie ześrodkowuje ani działań, ani pracy, ani zabaw i rozrywek naszych ziemian. Pod jednym tylko względem napotykałyśmy tu istotne życie ognisko: jest niem Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które steruje poniekąd w ruchu umysłowym i wszystkie w tej mierze podjęte usiłowania zespala, jednoczy i zagrzewa. Sądzę tedy, że krótki rys dziejów owego Towarzystwa odpowie wymaganiom pisma waszego, jak z innej strony najdokładniej też czytelników waszych zapozna z warunkami wewnątrzniemi umysłowego ruchu naszej dzielnicy.

Dwadzieścia lat temu będzie z górą, gdy grono mężów światłych i uczonych, zasmucając się widokiem bezwładności i uśpienia, w jakim pozostawała Wielkopolska, postanowiło utworzyć bądźco bądź pewne ognisko światła i ciepła, w nadziei, że wychodzące ztąd ożywcze promienie rychło dodadzą bodźca zdolnościom i pracy, robotom i usiłowaniom pojedynczym. W pierwszych miesiącach 1857 r. owa garstka ludzi dobrej woli rozpoczęła swe działanie, zbierając się po kolei bądź u hr. Tytusa Działyńskiego, bądź u hr. Rogiera Raczynskiego; niebawem spisano ustawy zamierzonego Towarzystwa, któremu ten ostatni ustąpił mieszkania swego prywatnego w bibliotece hr. Raczynskich.

Zawezwano zgodnemi głosi hr. Augusta Cieszkowskiego na prezesa wiażującego się Towarzystwa, a gdy tak wezwany na dłuższy czas z kraju wyjechał, powołano do tej godności hr. Tytusa Działyńskiego. Z kolei czterech mężów, znamienitych nauką i zasługą piastowało urząd prezesa naszego Towarzystwa: hr. Tytus Działyński, hr. August Cieszkowski, dr Karol Libelt i, dziś przewodniczącą, pan Stanisław Koźmian. Prezesowstwem honorowym zaszczycono najpierw s. p. X. Leona Przyłuskiego, arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznań-

skiego, a po jego zgonie — s. p. Seweryna hr. Mielżyńskiego, głównego dobroczyńcę powstającego Towarzystwa.

Odtąd życie umysłowe, znajdując ognisko, ześrodkowanie sił, gotową zachętę i poparcie, pomyslnie rozwijać się wśród nas zaczęło. Nie poznałby Wielkopolski, ktoby porównał obecny ruch literacki z sennością, która zalegała łany piśmiennictwa przed dwudziestu laty. — Czynność Towarzystwa Przyjaciół Nauk, tudzież niezmiernie zabiegliwość wydawnicza pierwszego z polskich księgarzy, jak słusznie nazwano pana I. K. Żupańskiego na publicznem Przyjaciół Nauk posiedzeniu: oto dwa główne czynniki rozbudzenia się życia duchowego na Wielkopolskiej niwie. Dziesięć grubych tomów *Roczników* Towarzystwa, ze sprawozdaniami z działalności przezeń rozwijanej, pozwalają nam śledzić krok za krokiem dobroczynne wpływy znacznych usiłowań. Nie tu miejsce wymieniać wszystkie konkursy mniejszem lub większem uwieńczone powodzeniem, a które Towarzystwo Przyjaciół Nauk dotąd corocznie rozpisuje. Wspomnijmy przynajmniej pobieżnie szlachetne zabiegi około uczczenia sławnych Wielkopolski synów. I tak, za powodem Towarzystwa Przyjaciół Nauk z kolei uwieńczono pamięć Sebastjana Klonowicza pomnikiem w jego rodzinnem mieście Sulmierzycach, umieszczono zaś tablice pamiątkowe na cześć Staszica w Pile, Jana i Jędrzeja Sniadeckich w Żninie, gdzie się rodzili. Podobne tablice, uwieczniające pamięć ks. Ignacego Krasieckiego i arcybiskupa Raczynskiego, świeżo ozdobiły mury, odnowionej skutkiem zabiegów Towarzystwa, Kaplicy Potockich w katedrze Gnieźnieńskiej. Przebiegając pośpiesznie szereg robót i działań Towarzystwa wspomnijmy, że ono-to głównie krzątało się około uświetnienia jubileuszu Kopernika, w czterechsetletnią rocznicę jego urodzin, zajmując się czynnie wydaniem albumu, żywota i medalu na cześć wielkiego astronoma, którego nam ościenne zazdroszcza plemiona. Kommissya ortograficzna, świeżo rozwiązana po kilkoletniej pracy, wyszła była z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk i pod jego skrzydłami działała. Toż Towarzystwo nie skąpiło zachęty uczonym gramatycznym pracom i wydawnictwom ks. Franciszka Malinowskiego. Miniony rok uwieńczył dotychczasową działalność instytucyi pomnikowemi wydawnictwami *Kodeksu Wielkopolskiego* i *Liber beneficiorum* Łaskiego, pierwsze już świetnie rozpoczęte, drugie gotowe do druku i czekające tylko na mecenasa równie hojnego jak hr. Jan Działyński, który wstępując w ślady znanego ojca nie skąpi ofiar, gdy chodzi o poparcie jakiego szlachetnego przedsięwzięcia.

Tymczasem zbiory Towarzystwa rosły zczasem niezajdując odpowiedniego umieszczenia; po śmierci s. p. hr. Rogiera Raczynskiego, gdy magistrat Poznański rozszczył sobie prawo własności do całego gmachu bibliotecznego, wyparł Towarzystwo Przyjaciół Nauk z jego pierwotnego przytułku, hr. Seweryn Mielżyński postanowił oddać na użytek Towarzystwa dom osobny w tym celu na ulicy Młyńskiej zakupiony, a szlachetny dar ten niebawem podwoił rozporządzeniami testamentowemi, które oprócz hojnego zapisu przyłączały do zbiorów Poznańskich cenne kolekcye Miłosławskie, wzbogacone zakupionemi przez hr. Mielżyńskiego zbiorami barona Rastawieckiego. Mnożość skarbów nie pozwalała myśleć o odpowiednim ich rozmieszczeniu w dotychczasowym Towarzystwa gmachu. Powstała tedy myśl zbudowania w podwórzu rzeczonyj kamienicy osobnego Muzeum, które pod imieniem hr. Mielżyńskiego pomieści w sobie niepośledniej wartości przedmioty sztuki, tudzież archeologiczne zabytki i pamiątki. Ofiarą gotowości spadkobierców hr. Seweryna Mielżyńskiego pozwoliła już w Maju 1873 r. położyć kamień węgielny pod gmach muzealny. Dla czego dotąd budowla ta ukończoną nie została; jakie formalności i zwłoki opóźniły niecierpliwie wyglądany koniec przedsięwziętych robót? — nie tu miejsce przywozić i przypominać. Dość, że obecnie niższe przynajmniej piętro tak dalece jest wykończonem, iż kommissya konserwatorów przystąpi niebawem do rozłożenia pewnej swych skarbów części w salach parterowych. Tym sposobem publiczność będzie mogła niemi się cieszyć, dotąd bowiem ginęły w ciasnocie i kurzawie nieodpo-

wiedniego umieszczenia, gdzie niepodobna było odnaleźć i rozpoznać pojedynczych zabytków lub obrazów. Ufajmy, że prace około wykończenia Muzeum szybszym teraz postąpią krokiem i będziemy mogli w przyszłym najdalej roku cieszyć się umiejętnym rozmieszczeniem ukrytych dotąd skar-bów.

Do powyższego rysu dziejów Towarzystwa wy-pada dodać jeszcze słów parę o treści dziesięcioto-mowych *Roczników*. Z tytułu niepodobna sądzić książki i żadnej zgoła pracy; z podpisanego jednak nazwiska wiele wnioskować i odgadnąć się daje; a imiona współpracowników rocznych publikacji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaiste, same z siebie dość wymownie świadczą o wartości zamieszco-nych tu artykułów. Są one najrozmaitszej treści; wkraczają w dziedzinę historii, filozofii, archeo-logii, nauk przyrodzonych. Szkoła naszych now-szych dziejopisarzy licznie i zaszczytnie tu jest re-prezentowaną; pp. Leon Wegner i Kazimierz Jaro-chowski, August Mosbach i Henryk Schmitt, dr Wojciech Kętrzyński i inni, pocztyli sobie za za-szczytny obowiązek dorzucić pęk kłosów do ro-cznego snopa Towarzystwa. Z dziedziny filozofii spotykamy się tu z nazwiskami: dra Karola Libelta i Augusta Cieszkowskiego, który głęboką swą rozprawę *O drogach ducha* w jednym z dawniej-szych *Roczników* zamieścił. Dział literatury błysz-czy tu imieniem J. I. Kraszewskiego, Stanisława Koźmiana, prof. Rymarkiewicza, ś. p. dra Cybul-skiego i innych. Archeologia reprezentowaną jest przez prace dra K. Szulca, ks. Dydyńskiego i t. d. Nie wspominamy już o wyczerpujących pracach z dziedziny nauk przyrodzonych, bo-by nas ta su-cha nomenklatura zbyt daleko zaprowadziła. Cały jeden *Rocznik* z r. 1874 wyłącznie przez sekcję le-karską Towarzystwa Przyjaciół Nauk został wy-pełniony, a między współpracownikami owego to-mu widzimy nazwisko zasłużonego kierownika świeżo wśród nas założonego szpitalika dziecięce-go, dra I. Zielewicza.

Potrzeba nam jeszcze czytelników obznajomić z treścią ostatniego *Rocznika*, który przed miesi-ącem rozesłany został pomiędzy członków Towa-rzystwa Przyjaciół Nauk. Pierwszy artykuł, pióra ks. dra Łukowskiego, traktuje o tej właśnie księdze Łaskiego, której przedruk ma być niebawem pod-jęty. Spisując *Beneficja kościelne Wielkopolski*, Ła-ski uczynił dla niej to, co Długosz dla Małopolski. Dr Kętrzyński dwie rozprawy do najnow-szego nadesłał *Rocznika*: jedną *O roczniku Mało-polskim*, przyczynek do annalistyki polskiej w XIII i XIV wieku, drugą o rodzinie Bajsenów czyli Ba-żyńskich, należącą do tych wysuniętych czat daw-nej Rzeczypospolitej, które broniły do upadłego niepodległości Prus Zachodnich wobec krzyżackie-go zakonu. W dalszym szeregu rozpraw podzi-wiamy uczony artykuł ks. Dydyńskiego *O urnach z krzyżami*, gdzie mnogość przytoczonych źródeł świadczy o wszechstronności podjętych przez au-tora badań. Historyczne opowiadanie p. Kazimie-rza Jarochońskiego *O oblężeniu Poznania przez Pa-tekula w 1704 roku* odznacza się zwykłymi zaletami znanego już ogółowi czytelników pióra. Pan prof. Rymarkiewicz rozszerza się nad nowo-odnalezio-nym przez dra Wisłockiego textem *Pieśni S. Woj-ciecha*, którą wbrew utartej pisowni i zgłoskowaniu, „Bogu Rodzica“ mianuje. *Rzecz o najstarszych statu-tach, Kapituły Gnieźnieńskiej, Sprawozdanie z odno-wienia kaplicy prymasa Teodora Połockiego* w archi-katedrze Gnieźnieńskiej—uzupełniają bogaty ro-cznik, który niedawno wyszedł z drukarni U. Ka-mieńskiego.

Przebiegając pokrótce dzieje Towarzystwa Przy-jaciół Nauk w Poznaniu, ślady jego działalności, trwałe pomniki zabiegów i trudów, nie potracili-smy o wpływ moralny, który niezawodnie w cią-głym znajduje się postępie i rozwoju. Skupienie

się w jedno ognisko, przykład starszych, zachęta udzielona młodszym pracownikom: oto główne ko-rzyści płynące z łona Towarzystwa na całą Wiel-kopolskę; cówięcej, nauczyliśmy się cenić skarby po prywatnych rozproszonych domach, zabytki, któ-re codziennie pług nasz z ziemi wyorywał. Pa-miątki te nie marnieją nadal w ukryciu, ale przesy-lane do Poznania wzbogacają rosnące zbiory na-szego Towarzystwa. A ztąd i materialnie i moralnie nic nie ginie, nic między nami się nie trwoni nie rozprasza. W przyszłym liście zamierzam wam przesłać echa z naszej prassy peryodycznej. Do nowej rozmowy więc, za kilka tygodni, podczas których zbierać dla was będę conajczystszy plon literackich z Poznańskiego wiadomości.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Nauczycielka“ — krotchwila w 1 akcie, napisał p. Ste-fan Dąbrowski. — „Kalosze“, komedia w 1 akcie przez J. Alexandra Fredro, przedstawione poraz pierwszy na sce-nie Teatru letniego w d. 23 września r. b.

Bardzo wielu dzisiaj zacnych zresztą obywateli, pracujących w rozmaitych zawodach pożytecznych, uwierzyło, a nawet nabrało silnego przekonania, że nie łatwiejszego jak bawić się literaturą, czyli pisać i nie prostszego czy pisać powieści, komedye czy cobądź, co niby płynie z wolnej fantazyi. Ztąd poszło, że o uszy nasze objęły się w ostatnich kil-ku latach rozmaite nazwiska autorów komedyi i po-wieści i rozmaite tytuły. Prostuduszni cieszyli się z tego przyrostu sił na niwie dramatycznej i po-wieściowej, nieprzyuszczając, że przyrost taki, odstręczając ogół od wiary w utwory oryginalne, samym autorom gotuje gorzkie i niemiłe rozczaro-wanie.

Wprawdzie są od tego redakcyje pism i dyrekcye teatrów, ażeby poddawały wartość tych utworów pod pewną ściślejszą analizę, lecz ani redakcyje, ani dyrekcye niezaswają czasu na poważne roz-patrywanie, a nie są znowu obdarzone duchem pro-roczym, iżby z góry mogły przewidzieć niepowo-dzenie.

Tym sposobem zdarza się widzieć na scenie ut-wory tak dalece pozbawione wszelkiej iskierki, nie już, talentu ale choćby dowcipu lub jakiejbądź zdol-ności, że dziwić się nie można wyrzekaniem wid-zów, którzy w najlepszych intencjach przyszli do teatru. Tym też sposobem stało się, że ujrzelśmy na deskach naszej sceny „Nauczycielkę“.

Autor nazwał ją krotchwila, jakkolwiek tyrad smutnych i mających pretensję do poetyczności a nawet do dramatycznego rozdarcia, jest tam wię-cej aniżeli jakiejbądź okazji do bezmyślnego choć-by śmiechu.

Porządny młodzieniec Jan Starża zwabia dobro-duszną, szlachetną, choć nieco za łatwowierną nau-czycielkę pannę Jadwigę w podróż ze sobą do Za-kopanego, pod pozorem jakimś dobrze niby wymy-słonym. W Zakopanem mieszkają u gazdy Wojtka tuż obok siebie, mówiąc do siebie gęstemi frazesami o poświęceniu, enocie, widokach natury i prze-znaczeniu. Co dalej wydarzyć-by się mogło, nie wie przedsiębiorczy Starża, gdy w tem spozstrzega zbli-żające się do chaty dwie swoje ciotki, panny: Bal-binę Skrzeczyńską i Eufrozyne. Obie naturalnie mają być bardzo zabawne, obie stare panny, jedna sentymentalna, druga praktyczna, a towarzyszy im pan *Eulantery* (imię z całkiem nowego kalendarza) stary kawaler.

Siostrzeniec, który mógłby poprostu drzwi zamknąć im przed nosem, bo je widzi z okna, woli

podnieść kołnierz, zasadzić na nos okulary i uda-wać zaczytanego. To ma być żywioł komiczny.

Naturalnie, ciocie poznają siostrzeńca; potem dowiadują się, że obok mieszka jakaś panna, bez-stają ją bez liłości; potem panna oburzona piętnuje pana Starżę pogardą, ale się zatrzymuje przy drzwiach i pozwala przeprosić; potem rozmaite jeszcze frazesy bez sensu, treści i humoru. Jedyna figura górala szczęśliwiej pomyślana.

Niestety! czy może być co smutniejszego od ka-rykatury bez krzty humoru! Francuzi wogóle, na najnieprawdopodobniejszej karykaturze wyhaftują tyle żartów, podanych z taką werwą, że się nietylko śmiać trzeba, ale przez chwilę wierzyć prawie temu, co się widzi. Mieliśmy tego dowód z równo-cześnie granej farsy p. t. „Maż pieszczony“.

Naturalnie, że gra aktorów pomódz nie mogła tak nieudatnemu utworowi, gdyby nawet rolę Star-ży grał był kto inny a nie p. Prażmowski, Jadwigę nie panna Mirecka, Skrzeczyńską nie panna Figar-ska. Trudno przecież wymagać od artystów dostro-żenia się do komizmu i humoru, którego nigdzie a nigdzie niema ani śladu.

Z prawdziwą przykrością wyznać musimy, że autorowi, występującemu poraz pierwszy, wróżyć nie można żadnej przyszłości na polu dramaty-cznem.

Farsa jednak czy krotchwila, ma u nas utalen-towanych pisarzów, dosyć tu przytoczyć J. Alexan-dra Fredrę, którego „Posażna jedynaczka“, „Drzemka pana Prospera“ i inne, długo jeszcze bawić będą szczerze.

„Kalosze“ są również niczem innym tylko farsą, usnutą z niczego; ale znać rękę wprawną, humor rzeczywisty i zdolność tworzenia sytuacji z ni-czego.

Pan Inicki zostawił kalosze swoje w klubie i do-stał kataru; a ponieważ jest takim pedantem, że swoich kaloszy, w których raz obca noga posta-ła, nie wdzieje już nigdy, więc kupuje nowe z nie-bieską podpaską dla łatwiejszej poznaki. Tymcza-sem p. Bótownski odsyła mu kalosze zabrane przez pomyłkę. Pan Inicki odsyła mu je „do rozporządze-nia“. Ten się obraża i przychodzi żądać sa-tysfakcyi. Zastaje tylko córkę pana Inickiego, która go już uwielbia, za to, że się jej codziennie kłania z ulicy, o czem p. Bótownski nie wie, gdyż ma-jąc bardzo krótki wzrok, zdejmował kapelusze przed krzyżem a nie przed panną. Na szczęście jest on siostrzeńcem starego pana Filiowicza, który chwil-kę przedtem umówił się z panem Inickim o złącze-nie go węzłem ślubnym z tą właśnie panią.

Bótownski, wychodząc, zabiera znowu nowe kalosze pana Inickiego, ztąd nowa awantura i nowe zawi-klanie, rozwiązujące się ku ogólnemu zadowoleniu, chociaż w werwie słabnie sztuka przy samym końcu. Ale rzecz przez większą połowę sztuki rozwija się gładko, wesoło, chwilami budząc śmiech serdecz-ny i ogólny, co właśnie bywa głównem zadani-em takich krotchwil.

Przyznać też trzeba, że gdy Inickiego gra Żół-kowski, kichający tak naturalnie i tak komicznie, że powstaje obawa epidemii kataru, a starego lisa Fi-liowicza — Rapacki, cudnie ucharakteryzowany i cudnie grający, Bótownskiego — pan Szymanow-ski z porywającą komiczną werwą: to sztuka musi mieć zapewnione powodzenie. Bawić też ona bę-dzie długo jeszcze nawet tych, którzy i na takie far-sy nie przychodzą jedynie po rozrywkę, ale po zdobycie materiału do odgrywania prywatnych lecz zawziętych Zoilów.

E. Lubowski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

TREŚĆ. Dwie potęgi, (poezya), przez Maryę Konopnicką. — Luźne myśli. — Nauka i wychowanie dziewcząt, (dokończenie), przez Maryę Pnicksą. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań). — Antoni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dalszy ciąg), przez Wł. Chodzkiewicza. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego.